CZERWIEC 2020

RozJazdy

Nr 1

KWARTALNIK KOŁA TURYSTYCZNEGO

W tym numerze:

O PATRONACH KOŁA
str. 3

RECENZJA NOCNEJ WĘDRÓWKI PO GÓRACH
str. 5

PODRÓŻE PO KULTURZE
str. 9

BĄDŹ TURYSTĄ WE WŁASNYM MIEŚCIE
str. 11

NIE TYLKO EGIPSKIE
str. 16

KUCHNIA WALENCJI I MURCJI
str. 18

W 91 MINUT DOOKOŁA ŚWIATA
str. 21

Z KRONIKI KOŁA - WYPRAWA W KARKONOSZE
str. 23

KOŁO TURYSTYCZNE IM. L. MROCZKIEWICZA I T. PERKTNEGO IX LO W POZNANIU

Słowo wstępu

Wyznaczanie szlaku jest nieprostym, ale jakże przyjemnym wyzwaniem. O tym właśnie jest pierwszy numer pisma „RozJazdy". Wie to każdy turysta: wytyczyć trasę można w każdym kierunku świata. Pasjonujące miejsca, turystyczne historie i ciekawostki, pyszne jedzenie z regionalnych kuchni, ciekawe i nieraz zapierające dech w piersiach widoki, spotkani fascynujący ludzie – zakres podróżniczych doznań jest nieograniczony! Przemieszczając się w dowolnym kierunku, napotkamy po drodze wiele osobliwości wartych zapamiętania, opisania. To, co łączy wszystkie teksty w naszym piśmie, to będąca u ich źródła wielka chęć zobaczenia i poznania, choćby w najmniejszej cząstce, otaczającego nas intrygującego i tak zróżnicowanego świata – co zdaje się być głównym powodem podróżowania.

Lektura pierwszego numeru da Czytelnikom okazję do zaznajomienia się z miejscami wartymi odwiedzenia. Ale nie tylko. Piszemy też o tym, co dzieje się nad naszymi głowami, na orbicie Zielonej Planety, nie zapominając oczywiście o sprawach bardziej przyziemnych. Bierzemy przykład z patronów Koła Turystycznego – Leona Mroczkiewicza i Tadeusza Perkitnego i za radą bliskiego przyjaciela i współpracownika tego ostatniego nasze pismo stanie się również częścią wspólnej historii – pamiętnikiem Koła. Spróbujemy oddać w słowach i zdjęciach klimat oraz wspomnienia z wydarzeń i wyjazdów, wprawdzie nie tak spektakularnych jak naszych patronów, ale jednak niesamowitych. W imieniu redakcji pisma „RozJazdy" serdecznie zapraszam do lektury tego numeru, jak i wszystkich kolejnych.

Igor Stryniak

Zdjęcie numeru

To było tuż przed feriami zimowymi. Kto mógł przypuszczać, jak bardzo zmieni się świat w ciągu zaledwie kilku tygodni? Wracając z Torunia, beztrosko snuliśmy z Kołem plany wiosennego wyjazdu w Góry Bardzkie. Okazało się, że urokliwe krajobrazy, spływ pontonami po Nysie i górskie szlaki będą jeszcze na nas musiały poczekać. Świat się zatrzymał i został w domu, Koło Turystyczne też.

Z Leonem i Tadeuszem dookoła świata

Na łamach „RozJazdów” trochę miejsca chcemy też poświęcić patronom Koła Turystycznego. Historia kina i literatury zna dziesiątki bohaterów, którzy przemierzali świat, odkrywali najdalsze zakątki, mierzyli się z wrogami i przygodami nie w pojedynkę, a w duecie. Bolek i Lolek, Holmes i Watson, Sonny i Rico czyli „Policjanci z Miami”, Phileas Fogg i Passepartout, Flip i Flap to tylko fragment długiej listy. Nasi patroni, czyli Leon Mroczkiewicz i Tadeusz Perkitny, w niczym nie odstają od powyższego grona, a mają jeszcze jeden atut – istnieli naprawdę. Poznajcie Tadeusza i Leona i wyruszcie razem z nimi w niesamowitą podróż dookoła świata!

Z archiwum rodziny Mroczkiewiczów

Obaj panowie urodzili się na początku XX wieku, a połączyła ich szkolna ława w poznańskim Gimnazjum Fryderyka Wilhelma[1]. Tam zaczęła się przyjaźń, która przez pola walk Powstania Wielkopolskiego i wojny polsko–radzieckiej zaprowadziła naszych patronów na Uniwersytet Poznański. Po uzyskaniu dyplomu inżyniera leśnika Leon i Tadeusz opuścili mury uczelni i…

„Koledzy, wylatują na ulicę wraz z nami, w te pędy opuszczają miasto i niczym głodne wilki rzucają się na wolne tu i ówdzie posady. Obejmują nadleśnictwa, leśnictwa, gajówki. Kupują łóżka i krowy, a gwoli niezwłocznego utuczenia gęsi co gospodarniejsze małżonki wloką do ołtarza. Nabywszy zaś smoczki i zapas pieluszek, nie marzą już o niczym więcej, jak o pchaniu wózków dziecięcych dookoła domu.

Pod murami Almae Matris gdzieś na samotnej ławce parkowej pozostają jedynie dwa indywidua: Pat i Pataszon – Tadeusz Perkitny i Leon Mroczkiewicz!

1 Gmach znajduje przy ul. Strzeleckiej w Poznaniu, a mieści się w nim dziś III Liceum Ogólnokształcące.

Co począć dalej? Dokąd się udać? Za co się chwycić? Na żadne z tych pytań nie mamy odpowiedzi. Jedno jest tylko pewne, że o pchaniu wózków dziecięcych dookoła domu, tak samo jak o krowach i gęsiach łącznie z małżonkami – przynajmniej przez lat dziesięć – nie może być mowy.

Jakieś niezaszczone tęsknoty i głuche niepokoje nurtują nasze serca. Gdzieś kiedyś może stoczyły się na nas z Giewontu lub spłynęły nam w dusze z szumiących wśród nocy olbrzymów Białowieskiej Puszczy. Gdzieś kiedyś może wyszły z dna Bałtyku lub posypały się z niebios takim deszczem iskier, że nie potrafi ich zgasić życiowa szarzyzna.

Na nic zdają się przemowy ojca, matczyne żale, tudzież przestrogi statecznych ciotek i wujków! Nasze wariactwo jest nieuleczalne.

– Jechać! – wołam i biję pięścią w biurko, aż atrament pryska na ściany razem z topielcami much.
– Jechać! – wtóruje mi Leon i tupie w podłogę z takim entuzjazmem, że chyba piętro niżej co słabsze żyrandole spadają do zupy.
– Jechać! – krzyczymy chórem obydwaj. – Jechać! Wszystko jedno dokąd, czemu, po co, na co i za co!”[2]

Tak właśnie 11 września 1926 roku zaczęła się podróż dookoła świata, która trwała 3,5 roku. W tę podróż zabierzemy się razem z naszymi bohaterami w kolejnych numerach. Będzie to okazja żeby poznać świat sprzed stu lat oraz Tadeusza i Leona. Warto, bo lepszych przewodników i towarzyszy nie można sobie wyobrazić. Bądźcie pewni, że monotonia, nuda i smutek nam nie grożą!

Piotr Ciesielski

2 Fragment pochodzi z książki Tadeusza Perkitnego *Okrążmy świat raz jeszcze. Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2009*

RECENZJA NOCY

Noc jest dla człowieka żyjącego dzisiaj porą, kiedy szum życia odrobinę przycicha, kiedy zostaje on sam na sam ze swoimi myślami. Wtedy może poukładać sobie miniony dzień, pozamykać otwarte w głowie sprawy albo skonfrontować się z własnymi poglądami. Już w momencie, w którym zostajemy sami w pokoju ze zgaszonym światłem, mimo że w oddali słychać szum ulicy, pod blokiem trwa debata, a w przedpokoju ktoś szura kapciami, powoli zaczynamy słyszeć siebie. Daleko lepiej byśmy się usłyszeli, gdyby naokoło była cisza, a światło latarni nie sączyłoby się do pomieszczenia przez okno. Nocna samotność jest papierkiem lakmusowym tego, co mówiliśmy i myśleliśmy w dzień, konfrontacją. Takiej konfrontacji brakuje nam dzisiaj bardzo często, żyjemy za szybko, żeby się zatrzymać i za intensywnie, żeby wieczorem nie paść od razu w objęcia Morfeusza. A nawet jeśli zostanie nam ten wieczór bez snu, często „dopychamy się" smartfonem, aż do zaśnięcia.

Właśnie z powodu potrzeby refleksji w życiu człowieka, potrzeby konfrontacji z samym sobą, ale też z powodu piękna i spokoju natury po zapadnięciu zmroku – chciałabym zrecenzować, zrelacjonować, jak i zareklamować górskie podejścia nocą (oczywiście tam, gdzie jest to bezpieczne i dozwolone).

W październiku ubiegłego roku wybrałam się z paroma osobami w Karkonosze, a początkiem wycieczki miało być właśnie nocne podejście do schroniska na Szrenicy. Zostawiliśmy samochód w Szklarskiej Porębie i wyruszyliśmy.

Na początku trasy było łagodne podejście przez las, aż do wodospadu Kamieńczyka. Droga dawała wrażenie spaceru między dwoma czarnymi ścianami, tylko na samej górze przebijały gwiazdy. Noc była rześka, tuż po deszczu, powietrze pachniało wilgotną ziemią z igliwiem, a trapery nurzały się w błocie. Właściwie początek niewiele różnił się od zwykłego spaceru po lesie, jedynie było trochę pod górę.

Ten moment na trasie był ekscytujący, byliśmy na szlaku całkiem sami, tylko krążki światła z naszych czołówek biegały po kamienistej ścieżce, niebo było bezchmurne, a las szumiał.

Po pewnym czasie, jeszcze daleko od Kamieńczyka, już było słychać jego łoskot, który najpierw zlewał się z szumem drzew, a później już wyraźnie go zagłuszał. Wreszcie łoskot był tak głośny, że wydawało się jakby był tuż pod nami. Jak się okazało – był. Ale w ciemnościach nie było go widać ani trochę. Na słowo (łoskot wody?) musieliśmy mu uwierzyć, że rzeczywiście tam jest. Bardzo ciekawe przeżycie, ponieważ wiedzieliśmy, jak wielka przepaść i jak ogromna masa wody jest pod nami, ale nie widzieliśmy jej w ogóle. Byliśmy ślepymi okruszkami wobec tej potęgi.

Dalej podejście było już bardziej strome, po kamiennej drodze, więc nasza grupa trochę się rozciągnęła. Już wtedy każdy z nas miał odrobinę więcej luzu na własne myśli, a i powolne przerzedzanie się drzew sprzyjało temu, szczodrze odkrywając przed nami – wędrowcami – nieboskłon. Co jakiś czas kładłam się na ścieżce na plecach, żeby obserwować coraz to większą ilość gwiazd (dlatego że stelaż plecaka nie pozwalał mi podnosić głowy, ale leżakowanie na ścieżce miało swój niewątpliwy urok). Tak więc szłam i czułam się, jakby myśli powoli odparowywały mi z głowy. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się na ścieżce na degustację herbaty z termosu. Na samym środku, bo nikogo innego nie było.

Kiedy zaczęła się kosodrzewina, niebo (i może przebyte kilometry też) coraz bardziej zamykało mi usta i szeroko otwierało oczy. Gwiazd było coraz więcej i więcej, a horyzont zdawał się być nieskończenie wielki. Wtedy potęga natury uderzała ze zdwojoną siłą. Wydawało się, jakby było coraz więcej powietrza. Zbliżaliśmy się do rozświeconego budynku gdzieś w górze, wiatr nasilał się i było coraz mniej roślinności. Kiedy doszliśmy do schroniska (jeszcze nie naszego docelowego), już nie było tam kosodrzewiny, więc horyzont był tak daleko, że czułam się, jakbym mogła zobaczyć co najmniej Warszawę, gdybym tylko miała odrobinę lepszy wzrok. A tylu gwiazd, ile było wtedy, nie widziałam chyba nigdy przedtem.
Później siedziałam na murku przed schroniskiem, słuchałam wiatru i stukających o siebie kubków grzańca i cały obraz rozciągający się przede mną jakby dudnił w środku mojej klatki piersiowej.

Ruszyliśmy dalej ku Szrenicy, wiało coraz mocniej, skały były coraz większe, a pod plecakiem spływała strużka potu. Szłam, patrząc pod nogi, ze wzrokiem utkwionym w ziemi, ale co kilka minut odwracałam się, żeby popatrzeć na – z każdym metrem w górę – piękniejszy krajobraz. Było widać coraz więcej świateł okolicznych miejscowości.

Doszliśmy wreszcie do naszego schroniska i tam zrozumiałam całkowicie symfonię alpejską Straussa, która kończy się wymieszanymi, niemal agresywnymi dźwiękami wszystkich instrumentów jednocześnie. I to nie z powodu wiatru, który z łatwością zabrałby moje włosy do Wałbrzycha, gdyby nie kaptur, ale ze względu na potęgę doznań. Potęgę gór, potęgę i niezliczoność gwiazd, potęgę Stwórcy, która się w tym wszystkim wyrażała, i specyficzne, górskie (złudne, ale przyjemne) poczucie braku ograniczeń. Weszliśmy więc do środka i tam spędziłam na parapecie nawet nie wiem, ile czasu, ponieważ... zasnęłam, ale widok był niesamowity. W dole wiły się światła miast i zabudowań od Szklarskiej Poręby do Jeleniej Góry, a może jeszcze dalej. Punkciki były połączone niteczkami, a wszystko to było malutkie jak makieta.

Siedziałam i patrzyłam zawinięta w koc, kiedy oknem trzęsły coraz to nowe podmuchy wiatru, a pode mną, bardzo, bardzo daleko, żyła nocnym życiem Kotlina Jeleniogórska. Ten widok był tak samo piękny, choć całkowicie inny, kiedy obudziłam się o siódmej rano. Ale to już byłaby recenzja poranka, która wykracza poza kompetencje „recenzji nocy".

Nocnemu chodzeniu po górach (wyłącznie w bezpiecznych warunkach) przyznaję miejsce w rankingu TOP 10 rzeczy, które warto zrobić. To możliwość zobaczenia gór w całkiem innym wymiarze, pretekst do przemyślenia fundamentalnych kwestii i oczywiście – okazja do wielu zachwytów. A jeśli kogoś nie interesują walory estetyczne bądź „refleksyjno-pędne" gór, to poza nimi posiadają one również niesamowitą zdolność zbliżania do siebie ludzi.

Polecam góry nocą bardzo gorąco!

Poznań, 24.05.2020

Kamila Lefler

Podróże po kulturze

W konsekwencji wydarzeń ostatnich miesięcy raczej nie doczekamy się w wakacje 2020 roku zwalających z nóg podróży po całym świecie. Nic nas jednak nie ogranicza przed przekraczaniem granic dzięki ciekawej książce, dobrej muzyce czy filmowi. To zawsze poprawia nastrój. Chcielibyśmy wskazać Wam trzy propozycje. Każda z nich ma związek z podróżami. Skupiając się na dobrych myślach, liczymy, że już niedługo z naszymi propozycjami będzie się można zapoznawać nie tylko w czterech ścianach domu, ale też w zatłoczonym, jak to latem bywa, przedziale pociągu do Zakopanego, na ufortyfikowanej parawanami kołobrzeskiej plaży czy w pełnym komarów ☺ namiocie na Mazurach.

Na początek... na koniec świata!

Jedną z najbardziej uniwersalnych książek, jakie kiedykolwiek czytałam, a i wielokrotnie do nich wracałam (może dlatego, że zawsze leżała w samochodzie mojego wujka, ale raczej nie tylko), jest książka Martyny Wojciechowskiej, o tytule takim jak jej program telewizyjny – „Kobieta na krańcu świata".

Jest to właściwie seria składająca się z kilku tomów, a każdy z nich jest zbiorem opowiadań z poszczególnych podróży autorki. Martyna Wojciechowska prowadzi od 2009 roku program dokumentalny, w którym odwiedza kobiety w najróżniejszych zakątkach świata. Na podstawie właśnie tych wizyt powstają jej książki.

Bohaterki żyją w całkowicie odmiennych kulturach, środowiskach i warunkach, które często mogą zadziwiać i budzić różne emocje. Śledzimy poukładane życie japońskiej gejszy oraz niczym nieograniczane szaleństwa gauchy, czyli argentyńskiej kobiety-kowboja, na końskim grzbiecie. Czasem mogą nas zaskoczyć warunki, w jakich można żyć w XXI wieku. Ciekawe jest to, że jako czytelnicy, w domowym zaciszu, możemy dowiedzieć się bardzo dużo o miejscach oddalonych od siebie o tysiące kilometrów. Wiele razy po prostu szeroko otwierałam oczy, nie mogąc uwierzyć, jak różni się od siebie ten sam gatunek ludzki, jedynie zamieszkały w innym miejscu, i jak odmiennie potrafi korzystać z tego, co oferuje mu świat. Wachlarz opowiadań jest naprawdę szeroki, więc z pewnością każdy znajdzie tam coś dla siebie.

Książka jest bardzo uniwersalna za sprawą jeszcze kilku elementów. Pierwszym z nich jest prosty dla odbiorcy język oraz lekka i przyjemna forma – czyta się ją szybko, a i można przerwać i odłożyć na jakiś czas. Swoją rolę odgrywa też przystępność dla każdej kategorii wiekowej. Kiedy miałam 12 lat, chętnie czytywałam te książki w samochodzie wujka, bardzo mnie interesowały i wciągały, ale takie same odczucia miała moja 40-letnia ciocia. Później wracałam do „Kobiety na krańcu świata", mając szesnaście, siedemnaście czy osiemnaście lat (nadal w tym samym samochodzie), i wciąż mogłam „wyciągnąć" coś interesującego dla siebie. Po prostu – te historie były przyjemne do poczytania w podróży.

Jeżeli ktoś szuka barwnej, momentami zaskakującej książki, która umili wieczór, podróż czy też będzie fajerwerkiem ciekawostek, to myślę, że kiedy sięgnie po któryś z tomów „Kobiety na krańcu świata" – nie zawiedzie się.

Kamila Lefler

„Jak leci? A pomału, od karnawału do karnawału”

Te słowa padają (nie raz) w jednym z utworów „Śpiewnika domowego” Łony i Webbera. Trafiają idealnie w swój czas. Każdy z nas wie, jak toczy się obecny rok i większość wolałaby już pominąć to, co się działo, a właściwie nie działo, przez wiele tygodni niczym reklamę przed wyczekiwanym seansem filmowym. Po czterech latach nowe EP (Extended Play, minialbum, czyli forma muzyczna za krótka, by być nazwana albumem) nie zawodzi! Przede wszystkim: na poziomie tekstów. Łona kolejny raz pokazuje, dlaczego przypisuje mu się miano przedstawiciela tzw. rapu inteligenckiego. Zmusza uważnego słuchacza do zadumy i refleksji, ale czyni to z lekkością, w czym pomagają świetnie dopasowane brzmienia. Tego się słucha, to wpada w ucho i… nie wypada, zostaje na dłużej. W dodatku jest tu sporo tanecznych brzmień i nie sposób nieraz powstrzymać poruszania się do rymów Łony i rytmów Webbera, jak np. przy sambie z utworu „Co tam, mordo?”, z którego pochodzi cytat w tytule tej minirecenzji.
Płyta szczecińskiego duetu pobudza pulsującą energią – jest jak muzyczna podróż przez kontynenty, nie przestając być w swym przekazie blisko naszej polskiej codzienności. Za sprawą wielu brzmieniowych, ale też tekstowych odniesień, celowej inspiracji dźwiękami, rytmami z różnych regionów świata (m.in. wspomniana brazylijska samba) piosenki ze „Śpiewnika domowego” zasługują na dopisanie do listy najlepszych utworów roku 2020. I oczywiście – na wielokrotne słuchanie. A więc… Jak leci?

Igor Stryniak

W pościgu przez świat

Nawet jeśli nie masz dość nowości, warto czasem obejrzeć klasyk filmowy. A gdy jest to komedia w reżyserii Stevena Spielberga – możesz to zrobić nawet dwa razy. Chodzi o znakomity, zabawny film „Catch me, if you can” (polski tytuł: „Złap mnie, jeśli potrafisz”). Swoją premierę miał prawie osiemnaście lat temu, ale ogląda się go nadal z przyjemnością. Film jest oparty na prawdziwej historii młodego fałszerza Franka Abagnale’a (w jego rolę wcielił się Leonardo DiCaprio), który znalazł się na liście najbardziej poszukiwanych przez FBI przestępców jako najmłodsza osoba w historii. Wszystko za sprawą wyłudzenia przez niego z banków ponad 2,5 mln dolarów. Zrobił to, podrabiając czeki w 26 krajach – i to przed ukończeniem 19 lat!
Młody Frank doskonale znał ludzką psychikę, wzorce postępowania, wobec których automatycznie dostosowujemy reakcje oraz to, jak wiedzę tę wykorzystać w praktyce. Pełen charyzmy i swobody potrafił wcielić się w każdą rolę, co pomogło mu bez przeszkód otworzyć dokładnie tyle drzwi, przez ile zapragnął wejść do celu. Pilot, lekarz, prawnik? W którym ze stanów USA będziemy mu tym razem towarzyszyć, do którego kraju Europy nas zabierze? Ile nowych twarzy, tyle nowych miejsc, genialnych rozwiązań, nieoczekiwanych zdarzeń. To właśnie talent Franka do natychmiastowych metamorfoz wprowadza do filmu elementy komediowe i napędza akcję, pozwalając nam dostrzec różne cechy osobowości głównego bohatera. Towarzyszymy mu w jego podróżach i przeżywamy wewnętrzny konflikt, kibicując zarówno Abagnale’owi, jak i ścigającemu go zawziętemu agentowi FBI, granemu przez Toma Hanksa. Ten wyborny duet nie pozwala oderwać się od fabuły i dostarcza ponad dwie godziny świetnej rozrywki, długo zapadającej w pamięć. „Catch me, if you can” to film, który się nie nudzi, do którego wraca się z chęcią i poleca się go innym, nie tylko jako świetne kino rozrywkowe, ale i podszytą subtelnym dramatem psychologicznym wciągającą historię.

Natalia Błotna

BĄDŹ TURYSTĄ WE WŁASNYM MIEŚCIE – ZA WINKLEM CZAI SIĘ ANGLIA I HOLANDIA!

Czy warto być turystą we własnym mieście? Przecież koziołki na ratuszu widzieliśmy już wiele razy, Poznań znamy dobrze, a na naszej codziennej trasie z domu do szkoły niewiele jest w stanie nas zaskoczyć. Może jednak spróbować zejść z utartych szlaków, skręcić w pierwszą ulicę w lewo albo w prawo, dać się zaskoczyć. Postaram się przekonać Cię, że własne miasto można odkrywać i że warto to robić, bo tuż za rogiem może się czaić widok, który sprawi, że poczujesz się jak w Anglii lub Holandii, czekają też tysiące ciekawych historii. Zwiedzanie Poznania dla wtajemniczonych czas zacząć!

Słowa, które stały się tytułem rubryki usłyszałem od szefa Poznańskiej Lokalnej Organizacji Turystycznej Jana Mazurczaka. Spodobały mi się bardzo, bo z ich treścią identyfikuję się od dawna (może od zawsze?). „Być turystą we własnym mieście" można na klika sposobów. Warto zacząć od tego, co w swoim programie mają wszystkie wycieczki przyjeżdżające do Poznania. Katedra, Stary Rynek, Fara, Dzielnica Zamkowa – każdy poznaniak zna te miejsca. Przyznaj się jednak: Czy ostatni raz nie byłeś tam podczas szkolnego zwiedzania jeszcze w podstawówce? Czy zwróciłeś uwagę na to co widać na kolorowej fasadzie ratusza? Czy w katedrze albo w zamku spędziłeś więcej czasu niż kwadrans? Może warto nadrobić zaległości i odwiedzić popularne atrakcje turystyczne jeszcze raz, tak na spokojnie, z wiedzą i świadomo-

ścią o kilka (kilkanaście) lat starszą i bardziej dojrzałą niż ostatnio. Efekty często okażą się zadziwiające. Można też starać się dostrzec coś, czego nie widziało się nigdy wcześniej, dowiedzieć się czegoś więcej. Codziennie mijane miejsca mają czasami do opowiedzenia fascynujące historie. Studenci dla żartu udający zagraniczną delegację z Beludżystanu, piękna dziewczyna, która skradła serce bohatera hymnu narodowego czy wielka wystawa, którą porównać można tylko do Expo. Tak, to wszystko zdarzyło się w Poznaniu! Można wreszcie zostać odkrywcą, zapuścić się w te części miasta, w których nigdy wcześniej nie byłeś. Nie ma tam nic ciekawego? Daleko od centrum tylko bloki lub inna mało interesująca architektura? Postaram Ci się pokazać, że to nieprawda.

Po co to wszystko? Najpierw nieco górnolotne wyjaśnienie. Takie „bycie turystą" pomoże nam lepiej poznać i zrozumieć nasze miasto. Freeman Tilden, amerykański dziennikarz, twórca idei interpretacji dziedzictwa, powiedział, że taka interpretacja tego, co nas otacza, prowadzi do zrozumienia, co z kolei owocuje docenieniem i uznaniem wartości. Jadąc do Rzymu, Barcelony, Wiednia czy Krakowa jako turyści, zachwycamy się pięknem odwiedzonych przez nas miejsc. Może uda nam się też dostrzec urok przestrzeni, w której żyjemy na co dzień? Jest wreszcie i przygoda. Zapuścić się w miejski labirynt, nie wiedzieć dokąd poprowadzi nas ulica, którą spacerujemy, co kryje się za najbliższym zakrętem. To naprawdę fascynujące uczucie. Szukałem tak kiedyś, w dobrze mi przecież znanym mieście, przedwojennej rzeźby z głównego ołtarza katedry. Rzeźba ta przetrwała wojnę, a po regotyzacji do kościoła już nie wróciła i trafiła w plener. Trafiwszy na ślad, gdzie się teraz znajduje, ruszyłem na poszukiwania i kiedy wyłoniła się zza ceglanego muru w ogrodzie, czułem się prawie jak Indiana Jones stojący przed zaginioną Arką. Jeśli jeszcze jesteś

nieprzekonany, czy warto być turystą we własnym mieście, pozostaje jeden sposób, by to sprawdzić. Musisz po prostu spróbować. W tej rubryce w każdym numerze będę się starał zaproponować Ci kilka nieoczywistych tropów.

Na pierwszą wyprawę wybierzemy się na obrzeża miasta. Pogranicze zawsze wydaje się ciekawe, zapowiada przygodę i emocje. Wsiadamy więc w tramwaj i ruszamy na południe. Nie, nie dojedziemy na pętlę, na której kiedyś można było usłyszeć głośne wołanie tramwajarzy, „Kuniec, Dymbiec!”. Wysiadamy jeden przystanek wcześniej przy Wspólnej. Ulica ta to też granica. Przez dziesiątki lat między miastem, a podpoznańską wsią Dębiec, a potem między dwoma fyrtlami. Pozostaje nam już tylko odszukać zielonkawe fasady domów przy ulicy 28 Czerwca 1956 roku i zapraszającą, dużą półkolistą bramę. Teraz będzie jak na filmach, kiedy bohater, przechodząc przez drzwi, nagle znajduje się w zupełnie innej rzeczywistości. Kilka razy miałem okazję towarzyszyć osobom, które tę bramę przekraczały po raz pierwszy i za każdym razem obserwowałem, jak ze zdumienia otwierają usta.

Przestrzeń za bramą jest zupełnie inna. Zaskakuje. Piętrowe bliźniacze domki otaczają mały placyk. Na wprost ciągnie się uliczka, która kusi i zaprasza do dalszego spaceru. Za chwilę fasady staną się nieotynkowane, a czerwona cegła i architektura sprawią, że po-

czujemy się jak w typowym brytyjskim miasteczku. Czy faktycznie znaleźliśmy się na Wyspach? Czy to plan filmowy? A może obrazek z bajek dla dzieci? Przemysłowa Wilda, ruchliwa ulica i hałaśliwe tramwaje zostały gdzieś daleko, a kameralna enklawa robi niesamowite wrażenie.

Jak powstał ten kawałek Poznania? Kto mieszkał w tym miejscu? Mamy rok 1913, miasto ma duże potrzeby mieszkaniowe, bo przez długi czas funkcjonowało stłoczone w murach twierdzy. Wolny obszar położony na obrzeżach jest dobrym miejscem na budowę osiedla, a dodatkową zaletą jest bliskość terenów kolejowych. Inwestycję rozpoczyna więc tutaj Spar und Bauverein (po polsku: Towarzystwo Oszczędzania i Budowania), czyli pierwsza spółdzielnia mieszkaniowa działająca w Poznaniu od 1893, roku zrzeszająca głównie kolejarzy. Celem spółdzielni jest obniżenie kosztów mieszkań dla robotników i urzędników, a znana jest ona z tego, że wcześniej wybudowała już zespół domów przy ulicach św. Czesława i Wierzbięcice (z których jeden zachował się do dziś, w technice muru pruskiego).

Formy, w których postawiono domy na osiedlu, przywodzą na myśl architekturę spotykaną na uliczkach miast brytyjskich, holenderskich czy niemieckich. Pomyśl o znanych Ci teledyskach czy filmach umiejscowionych w miejskim pejzażu tych krajów. Podobieństwo jest uderzające. Dekorację ograniczono do minimum, a efekty osiągnięto przy pomocy cegły, zróżnicowanych form dachów, pseudorenesansowych szczytów, ryzalitów i balkonów. Na parterze domków mieściła się kuchnia ze spiżarnią, pralnia i pomieszczenia gospodarcze z kotłowiną, na piętrze dwa pokoje, na strychu łazienka. Przed wejściem zaprojektowano ogródki umożliwiające uprawę warzyw na własne potrzeby. Domy do dziś przetrwały w pierwotnej formie, często ze zmienionym rozkładem pomieszczeń w wyniku remontów w środku. Realizację

zespołu zakończono w roku 1916 lub 1918, a jest to tylko część założenia, które sięgać miało aż do ulicy Rolnej. Obecni mieszkańcy nazywają ten fyrtel Osadą.

Kiedy już, nie opuszczając wcale Poznania, poczujesz się jak w Anglii, wystarczy tylko kilka kroków dalej, żeby trafić na największe na świecie podwórko albo cmentarz-ogród. To już jednak temat na zupełnie inną opowieść i wyprawę.

Piotr Ciesielski

Poniższy tekst powstał na podstawie rozmowy z osobą, która przez kilka lat uczestniczyła w badaniach archeologicznych cmentarzyska neolitycznego w Chartumie-Omdurmanie. W następnych numerach pisma „RozJazdy” poznamy bliżej zarówno charakter jej pracy, jak też życie i zwyczaje lokalnych mieszkańców oraz specyfikę Sudanu.

Nie tylko egipskie

Jest piękny poranek 9 lutego 2018 r. O 7:30 mamy 23,4 st. C. To będzie gorący dzień.

Dziś po całotygodniowej pracy możemy się wybrać za miasto. Pozwolenie na wyjazd do Meroe (ok. 200 km na północ od Chartumu) uzyskane. Zabieramy je ze sobą. Jeszcze paszport, kapelusz, okulary i dużo wody. W południe będzie prawie 38 st. C, a może i więcej! Ruszamy w drogę. Troje wycieczkowiczów i nasz kierowca Nagib.

Pierwszy check-point (posterunek policji) na rogatkach miasta. Pokazujemy paszporty, pozwolenie. Uprzejmy policjant uśmiecha się i pyta:

– Czy wszystko w porządku? (*Kulu tamam?*).

– *Tamam* – odpowiadamy i mkniemy dalej.

Następny check-point za 50 km.

Obcokrajowcy nie mogą bez zezwolenia opuszczać miejsc, w których przebywają na stałe.

Jedziemy wąską asfaltową szosą. Po drodze mijamy pustynny krajobraz. Gdzieniegdzie samotna akacja. Kamienie.

Po prawie 3 godzinach jazdy naszym oczom ukazuje się niecodzienny widok – morze piasku i one... piramidy! Nieco inne od tych, które znamy z podręczników – ich zwieńczenie nie jest spiczaste, lecz płaskie. Wyglądają jak wielkie trapezy.

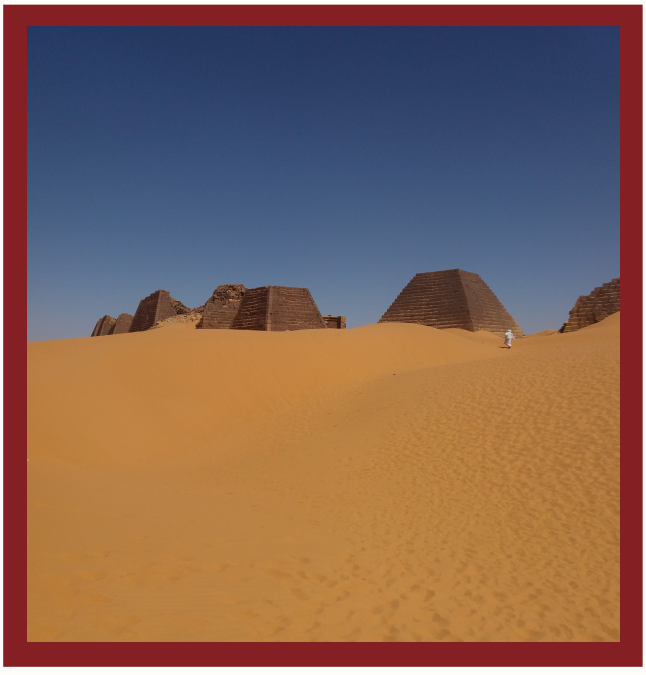

Jesteśmy w starożytnej Nubii, pomiędzy VI a V kataraktą na Nilu. Meroe było ważnym ośrodkiem kulturalnym od VI w. p.n.e., stolicą państwa Kusz i miejscem pochówku królów kuszyckich. Tu narodziło się pismo meroickie, które z czasem zastąpiło egipskie.

Piramidy zbudowano z cegieł, mają od 10 do 30 m wysokości. W środku znajdują się hieroglify, płaskorzeźby i jest przyjemny chłód. Na zewnątrz tłumy wycieczek szkolnych. Nasz odmienny strój, kolor włosów i skóry wzbudzają zainteresowanie. Zewsząd słychać okrzyki: *Hi!*, *Hello!*, *How are you?*, *Kulu tamam?*, *Min 'ayn'ant?* (skąd jesteś?). Odpowiadam: *Ana min Bulanda* (Jestem z Polski). Co odważniejsze dziewczęta proszą o wspólne zdjęcie.

Po zwiedzaniu miasta czas na wydmy. Piasek jest tak gorący, że nie sposób go dotknąć.

Zmęczeni, ale szczęśliwi wracamy do Chartumu. Jutro czeka nas przecież wizyta w suku (na targowisku).

Cdn.

Michalina Tabaka

Cocina Valenciana y Murciana

(Kuchnia Walencji i Murcji)

Kuchnia hiszpańska kojarzy się nam przede wszystkim z daniami pełnymi owoców morza. To oczywiście słuszne skojarzenie. Leżąca na Półwyspie Iberyjskim Hiszpania mieści się na zachodnim krańcu Morza Śródziemnego, więc „kulinarnie" zaliczana jest do kuchni śródziemnomorskiej, w której królują wspomniane owoce morza, ryby oraz oliwy (pełne zdrowego nienasyconego tłuszczu oraz kwasów omega- 3). Jednakże kuchnia hiszpańska jest o wiele bogatsza, niż może się zdawać przeciętnemu turyście. Wpływ na nią miała nie tylko kultura rzymska, ale również arabska, jak i specyfika regionalna. Spróbuję przedstawić Wam w skrócie kuchnię Walencji oraz Murcji – regionów położonych na wschodnim wybrzeżu Hiszpanii.

Paella [**paeja/paedzia**] – to najprawdopodobniej najpopularniejsze danie narodowe Hiszpanii, a pochodzi właśnie z Walencji i Murcji. Czym jest paella? Zgodnie z definicją to potrawa jednogarnkowa na bazie ryżu i szafranu, chociaż w niektórych przepisach kulinarnych pojawia się paella na innej bazie. Określenie jest szerokie, mieści wiele odmian. Paella jest niczym pizza – bywa na różnych spodach i z rozmaitymi dodatkami. Sama nazwa pochodzi od łacińskiego słowa 'patella' oznaczającego metalowe naczynie, z którego żywili się robotnicy podczas obiadu. Dlatego też lokalną tradycją jest spożywanie paelli wspólnie z rodziną z jednego naczynia, w którym potrawa została przygotowana. Najczęściej podawana jest ona z kawałkami owoców morza, drobiu, króliczego mięsa oraz warzyw. W kuchni Walencji króluje paella valenciana – z dodatkiem groszku i drobiu lub króliczego mięsa. Również tam istnieje tradycja, która każe przygotowywać paellę na płonącym drewnie. Płomienie, otaczając danie, sprawiają, że staje się ono bardziej chrupiące oraz wchłania aromat palącego się drwa.

Osoby nieprzepadające za ryżem mogą w regionie Walencji spróbować paelli w wersji z makaronem, tzw. **fideuà**. Powstała ona dzięki tamtejszym rybakom, którzy musieli radzić sobie z brakami w dostawach ryżu. Podawana jest z sosem alioli, na bazie czosnku i majonezu. Paella marinera, czyli zawierająca duże ilości owoców morza, to również zasługa rybaków, którzy od zawsze opierali swą dietę na „nadwyżkach" z własnych połowów.

Wróćmy do ryżu. Nie można zapomnieć o specjalnie przygotowywanym rodzaju tego zboża, a mianowicie **arroz negro**, czyli „czarnym ryżu" powstającym dzięki zabarwieniu atramentem kałamarnicy. Podawany jest on również do „morskiej" paelli.

Nie jest dla nikogo niespodzianką znaczenie, jakie przywiązuje się na Półwyspie Iberyjskim do „pokarmu z morza", pod tym względem kuchnia hiszpańska rywalizuje z francuską, włoską czy grecką. Można się spierać, gdzie skosztujemy smaczniejszego dania, lecz mieszkańcy regionu murcyjskiego mają mocny argument na swoją korzyść – na terytorium wybrzeża Murcji znajduje się wielka, przedzielona 20-kilometrową mierzeją morska laguna nazywana Morzem Mniejszym, czyli Mar Menor. W akwenie tym panują zdecydowanie odmienne warunki dla życia ryb i skorupiaków niż na otwartym morzu, woda jest dużo cieplejsza i bardziej zasolona. Za najlepsze „skarby" uważa się poławiane tu **langusty**, **krewetki** oraz **doradę**. Ich mięso uchodzi za dużo delikatniejsze niż pochodzące z połowów pełnomorskich. Największe hiszpańskie wytwórnie soli morskiej także znajdują się na terenie Murcji.

Ważnym i zdecydowanie smacznym specjałem regionu są słodycze, często będące spuścizną kuchni arabskiej. Można się zastanawiać, dlaczego akurat tutaj owe wpływy stały się nawet większe niż w Andaluzji, gdzie Maurowie (ludność arabska) o wiele silniej współtworzyli lokalną kulturę. Powodem była uprawa ryżu, która znajdowała się na przyjaznych wschodnich wybrzeżach Półwyspu Iberyjskiego i pobudzała lokalne stosunki międzyludzkie oraz wymianę handlową.

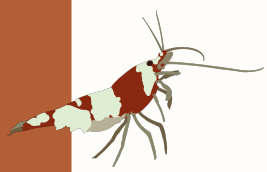

Podstawą większości słodyczy są migdały, miód lub orzechy. Przykładem takiego produktu jest **turrón** (nugat) – odpowiednik irańskiej chałwy. Tym przysmakiem witano gości na dworach już w XV wieku. Sama nazwa ma ciekawą historię: wzięła się od nazwiska katalońskiego cukiernika Pablo Turronsa, który w XVIII wieku podczas wojny o sukcesję tronu hiszpańskiego przygotowywał ten słodycz jako rację żywnościową dla mieszkańców oblężonej Barcelony (stolica Katalonii).

Warto również wspomnieć o Agua de Valencia, „życiodajnej wodzie" z Walencji, która nie jest – jak mogłoby się wydawać – żadną z mineralnych wód tego regionu, lecz mieszanką musującego z wódką, ginem i sokiem pomarańczowym.

Kuchnia Hiszpanii jest różnorodna, ale niekoniecznie ją znamy tak dobrze jak włoskie makarony i pizze. Zachęcam do zgłębiania jej smaków, ponieważ każdy znajdzie w niej coś dla siebie (alkohol oczywiście tylko dla pełnoletnich!).

Marcel Wrzesiński

W 91 minut dookoła świata

Przystając na chwilę i spoglądając w niebo, możemy zobaczyć różne zapierające dech w piersiach widoki. W dzień są to połacie nieba przeplatane chmurami o najróżniejszych kształtach i ponacinane przelatującymi samolotami, które rozbijają jednolitość błękitu niczym falochron sztormowe fale. Zdarzają się też wielkie ołowiane potwory ciągnące od horyzontu, groźnie grzmiące z oddali – zapowiadają wieczorną burzę. Z kolei w nocy niebo zapełnia się gazowymi gigantami, z naszej perspektywy wyglądającymi jednak bardziej jak czubek igły. Czasami nad horyzontem ujawnia się księżyc lub silnie świecąca odbitym światłem słonecznym Wenus czy inne planety układu słonecznego, a raz na jakiś czas na nieboskłonie zagości na ułamek sekundy zagubiony meteor, spalający się w ziemskiej atmosferze. A między tym wszystkim przelatuje jedno z większych osiągnięć ludzkości – Międzynarodowa Stacja Kosmiczna.

Przy współpracy, m.in. krajów Europy, Stanów Zjednoczonych, Japonii, Kanady i Rosji realizuje się na naszych oczach jak dotąd największy międzynarodowy projekt kosmiczny. 360-tonowa stacja, o powierzchni około 820 metrów kw., od prawie 20 lat orbituje wokół Ziemi – najpierw z trzy-, a obecnie sześcioosobową międzynarodową załogą na pokładzie. Jest to nie tylko osiągnięcie techniczne, ale też prawdziwy sukces polityczny. Udowadnia, że ludzie mogą współpracować i łączyć siły nie tylko w celu pokonania wspólnego wroga czy kataklizmów, ale też aby tworzyć większe i ambitniejsze projekty, którym jeden kraj sam by nie podołał.

Sześciu kosmicznych podróżników, oblatujący całą kulę ziemską w czasie zaledwie 91 minut, musi się mierzyć z wieloma problemami. Mieszkanie w przestrzeni kosmicznej ma swoje konsekwencje. Ciągłe przebywanie w stanie nieważkości

powoduje zanik mięśni nóg, dlatego astronauci stale muszą ćwiczyć na bieżni. Człowiek na Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (skrót ang. ISS) traci również 1% masy kości miesięcznie, co jest podobnym poziomem zaniku jak u osób chorych na osteoporozę. Dlatego obserwacje stanu kosmonautów wykorzystuje się w badaniach nad sposobem wcześniejszego wykrywania tej choroby. Jak się okazuje, mieszkańcy stacji inaczej postrzegają też upływ czasu, wydaje się im on znacznie szybszy. Oprócz tego na pokładzie przeprowadza się wiele obserwacji, np. sprawdza, jak w kosmosie zachowują się mikroorganizmy, bada procesy parowania czy zachowanie materiałów w stanie nieważkości. Na ISS trafiają też wszystkie próbki z kosmosu przed ostatecznym przylotem na Ziemię. Stacja robi również zdjęcia naszej planety, które służą kontroli stanu wód.

Jaka jest przyszłość ISS? Prawdopodobnie prędzej czy później stacja zostanie „zdjęta" z orbity. Jednocześnie, obok tej międzynarodowej inicjatywy, do gry w eksplorację kosmosu wkracza też sektor prywatny. W maju tego roku wystartowała pierwsza rakieta załogowa SpaceX z dwoma astronautami na pokładzie. Możliwe, że w niedługim czasie zobaczymy na orbitach więcej stacji, nie tylko tych wysyłanych przez organizacje rządowe, ale też firmy. W tym procesie znaczenie ISS jest nie do przecenienia, przede wszystkim wytycza ona kierunek dla rozwoju produkcji nowych jednostek orbitalnych.

Jednak na razie musimy się cieszyć z naszej jedynej czynnej stacji kosmicznej. Są ku temu szczególne okazje. Jakie? Możemy ją obserwować! Jeśli pogoda nam na to pozwoli, co kilka lub kilkanaście tygodni widać Międzynarodową Stację Kosmiczną nad polskim niebem. W internecie jest wiele stron i aplikacji, w których podany jest najbliższy przelot ISS, co ułatwia zadanie. Stacja jest na tyle duża, że widać ją gołym okiem (wprawdzie tylko jako przelatujące światełko, ale i tak satysfakcja z obserwacji jest niesamowita).

Igor Stryniak

Tekst jest relacją z wyprawy Koła Turystycznego na Grzbiet Karkonoszy. Wyjazd miał miejsce na początku wakacji w roku szkolnym 2017/2018. W wycieczce, która odbyła się w dniach 25-27 czerwca, udział wzięło 10 osób oraz opiekunowie prof. Justyna Kowalewska oraz prof. Piotr Ciesielski.

Z GŁOWĄ W CHMURACH… PRZEZ GRZBIET KARKONOSZY

Stacja kolejowa Szklarska Poręba Górna. Pociąg do Poznania o wdzięcznej nazwie „Kamieńczyk” już stoi na peronie gotowy do wyruszenia w drogę. Do odjazdu zostało zaledwie kilkanaście minut, a nasza grupa zamiast zajmować wygodne miejsca, jeszcze nadal wspina się pod górę w kierunku dworca, przypominając peleton kolarzy przed premią górską królewskiej kategorii na Tour de France. Szkoda nam było jednak zrezygnować ze źródeł Łaby i wodospadu Panczawy, które mieliśmy w planach ostatniego dnia. Niestety, wskazówki zegarka przesuwały się nieubłaganie i musieliśmy rozpocząć wyścig z czasem. Nasze notowania nie były zbyt wysokie, przynajmniej w oczach turystów odpoczywających na tarasie schroniska pod Łabskim Szczytem. Kiedy usłyszeli, o której godzinie odjeżdża nasz pociąg i oszacowali drogę, która nam została, stwierdzili krótko i kategorycznie: „Nie mają żadnych szans!”. Nie docenili jednak tego, że zahartowani trzydniowymi wspinaczkami bez większych problemów zbiegliśmy do Szklarskiej Poręby, że po Kościanie i Książu

takie sytuacje mamy już przećwiczone. Na peronie zameldowaliśmy się trochę zmęczeni, ale oczywiście punktualnie. Co prawda na obiad i zakupy czasu już nie było, ale odwiedzone miejsca na długo zostaną w naszej pamięci. Było warto!

Chmury towarzyszyły nam w Karkonoszach przez cały czas. Gdy tylko wysiedliśmy z autobusu, zobaczyliśmy, jak gdzieś wysoko zasłaniają grzbiet, a po kilku godzinach znaleźliśmy się wśród nich. Z rzadka cumulusy, najczęściej gęste stratusy, na szczęście tylko przez kilka chwil nimbostratusy. Byliśmy zdani na ich kaprysy – kiedy wiatr powiał mocniej, to na chwilę pokazywały nam skrywane widoki, czasem kiedy zaświeciło słońce, mgła i cienie dawały fantastyczne i bajkowe efekty. Dość szybko się do nich przyzwyczailiśmy i przestaliśmy się dziwić, że po czeskiej stronie niebo było jakby jaśniejsze, a obłoków mniej. Głowę w chmurach mieliśmy nie tylko dosłownie. Przez trzy dni udało nam się na chwilę zapomnieć o codziennych obowiązkach i sprawach czekających na nas w Poznaniu. Zostawiliśmy na dole hałas, tłumy ludzi, nasze skrzynki mailowe, wiadomości, które docierają do nas przez radio, telewizję czy internet. Rytm dnia wyznaczał nam marsz z plecakiem, obcowanie z górami, wspólne rozmowy i razem spędzony czas. Warto było na początku wakacji tak odpocząć i zresetować się po całym roku szkolnym.

Wiele wrażeń, które przywieźliśmy do domu, a także to, że sprawnie i bezpiecznie przewędrowaliśmy przez cały grzbiet Karkonoszy zawdzięczamy naszemu przewodnikowi panu dr. Mateuszowi Rogowskiemu. To on zabrał nas na drugą stronę granicy, pokazując, jak ciekawe są czeskie Karkonosze. Sami pewnie nie odkrylibyśmy źródeł Łaby, nie zobaczyli, jak wspaniała jest dolina tej rzeki i jak pięknie wygląda Śnieżka od strony Lucni Boudy. Mieliśmy okazję na własnej skórze spróbować leczniczej mocy okładów z borowiny oraz dowiedzieć się, jak wyglądała kiedyś turystyka w Karkonoszach i jakie wyzwania stoją przed nią dzisiaj. Ciekawą opowieść zawdzięczaliśmy temu, że nasz przewodnik zagadnieniami ruchu turystycznego zajmuje się na co dzień podczas swojej pracy naukowej na uniwersytecie. O naszą grupę pan Mateusz dbał tak bardzo, że potrafił nawet zaplanować półgodzinny odpoczynek w schronisku dokładnie w czasie, kiedy za oknem padał deszcz. Naprawdę warto zabrać ze sobą w góry dobrego przewodnika!

Musimy też pochwalić się nowym rekordem – Śnieżka (1603 m n.p.m.) to największa wysokość osiągnięta w dziejach Koła Turystycznego. Ponadto jesteśmy dumni, że w wysokogórskim terenie z plecakami udało nam się przejść 55 kilometrów, no i... zdążyć na pociąg do domu!

z kroniki Koła Turystycznego

Pismo „RozJazdy” nr 1 czerwiec 2020
Wydawca: Koło Turystyczne im. Tadeusza Perkitnego
i Leona Mroczkiewicza w IX LO w Poznaniu
Opiekun wydawniczy: Piotr Ciesielski
Redaktor naczelny: Igor Stryniak
Redaktor graficzna: Helena Olachowska
Redaktor merytoryczna: Kamila Lefler
Fotoedycja: Matylda Deckert
Grafika: Milena Podlas
Skład: Helena Olachowska
Korekta: Marcel Wrzesiński
Promocja: Wojciech Pruss

BIBLIOGRAFIA

bądź turystą we własnym mieście:
M. Mrugalska-Banaszak, *Wilda, dzielnica Poznania 1253-1939, Poznań 1999*.
J. Pazder (red.), *Atlas architektury Poznania*, Poznań 2008.
F. Tilden, *Interpretacja dziedzictwa*, Poznań 2019.
F. Tomczak, *Kaiser Wilhelm Siedlung, czyli osada kolejarzy przy ul. Hutniczej*, artykuł zamieszony na www.miastopoznaj.pl
autorką zdjęć do tekstu jest Justyna Kędra

w 91 minut dookoła świata
źródło zdjęcia: pixabay.com

z głową w chmurach... przez grzbiet Karkonoszy:
autorem zdjęć do tekstu jest Wiktor Kroker

Drogi Czytelniku i Droga Czytelniczko,

żyjemy nadzieją, że ten numer „RozJazdów” okazał się pożyteczny, interesujący czy po prostu przyjemny. Jeśli chciał(a)byś go współtworzyć i dołączyć do naszego zespołu, to serdecznie zapraszamy do kontaktu pod adresem: rozjazdy@9lopoznan.pl